

GAZETA  
OLSZTYŃSKA

DZIENNIK  
ELBLĄSKI

30 GRUDNIA 2024

# BIZNES

WARMII i MAZUR

# BIZNES

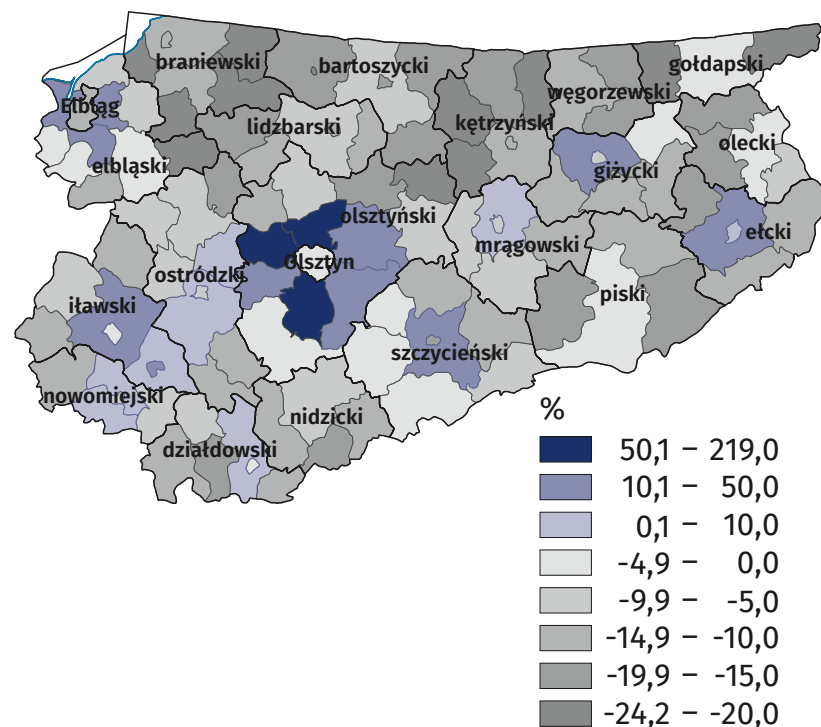
— L U D Z I E —



Fot. AdobeStock 1070056883

## Zmiana liczby ludności w gminach województwa warmińsko-mazurskiego w latach 2000–2023

Na koniec 2023 r. warmińsko-mazurskie zamieszkiwało 1357,9 tys. osób. W latach 2000–2023 populacja województwa zmniejszyła się o 69,6 tys. osób, czyli o 4,9% (w Polsce o 1,6%). Warmińsko-mazurskie znalazło się w grupie dwunastu województw, w których na przestrzeni dwudziestu trzech lat nastąpił spadek liczby mieszkańców.

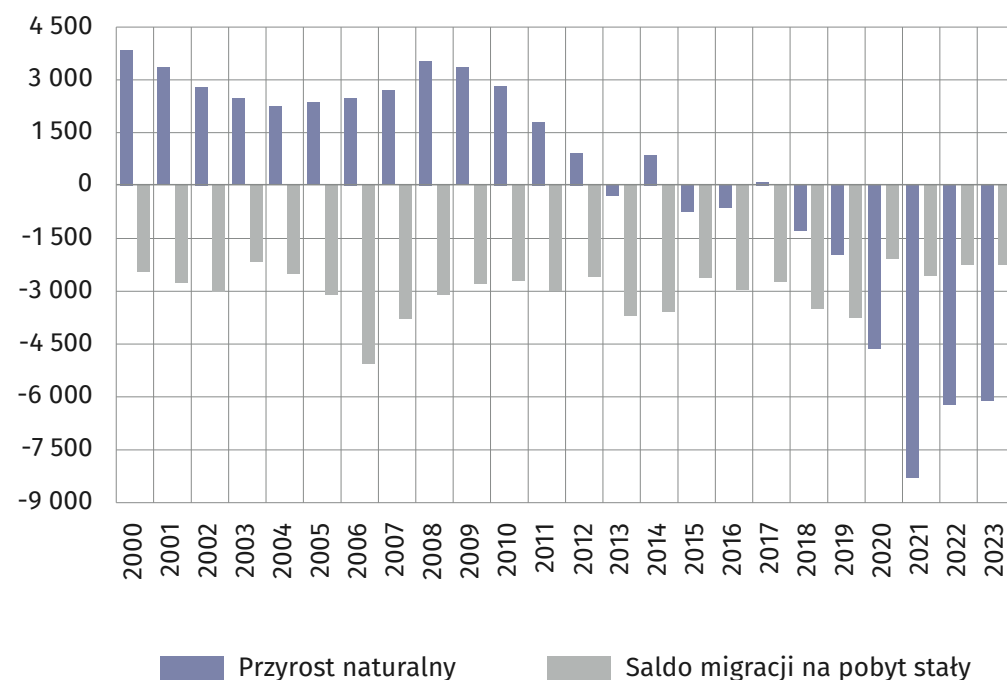


W analizowanym okresie tylko w 21 spośród 116 gmin regionu liczba ludności zwiększyła się. W grupie tej były m.in. gminy położone w pobliżu Olsztyna i innych miast województwa. Wśród 13 jednostek administracyjnych o przyroście ludności większym niż 10% znalazło się sześć gmin powiatu olsztyńskiego – Stawiguda, Dywity, Jonkowo, Gietrzwałd, Purda i Barczewo, dwie gminy wiejskie powiatu elbląskiego – Elbląg i Milejewo, miasto Lubawa oraz cztery gminy wiejskie zlokalizowane obok miast o tej samej nazwie – Szczytno, Ełk, Iława i Giżycko.

W 95 gminach regionu liczba ludności zmniejszyła się. Ubytek ludności wyższy niż 10% odnotowano w 60 gminach. Wśród nich najwyższym spadkiem liczby mieszkańców (powyżej 20%) charakteryzowały się gminy: Lelkowo, Banie Mazurskie, Reszel, miejska Górowo Iławeckie, Srokowo, Kolno, Korsze, Godkowo, Wilczęta, Pieniężno, Frombork i Dubeninki.

Źródło: Dane Urzędu Statystycznego w Olsztynie

## Przyrost naturalny i saldo migracji na pobyt stały w województwie warmińsko-mazurskim w latach 2000–2023



Spadek liczby mieszkańców województwa w latach 2000–2023 był spowodowany niekorzystnymi zmianami w liczbie urodzeń i zgonów, a także ubytkiem migracyjnym ludności.

W 2023 r. zarejestrowano 8,5 tys. urodzeń. Liczba zgonów przewyższyła liczbę urodzeń o 6,1 tys. i wyniosła 14,6 tys., powodując ujemne saldo przyrostu naturalnego. W porównaniu z 2000 r. liczba urodzeń spadła o 45,6%, natomiast zgonów wzrosła o 23,9%.

Przez wszystkie lata analizowanego okresu w województwie rejestrowano ujemne saldo migracji. Liczba osób wymeldowanych z pobytu stałego przewyższała każdego roku liczbę osób zameldowanych na stałe. W 2023 r. w wyniku migracji liczba mieszkańców zmniejszyła się o 2,3 tys. osób.

Źródło: Dane Urzędu Statystycznego w Olsztynie

# ALICJA RYMSZEWICZ: DLA MNIE NAJWAŻNIEJSZY JEST CZŁOWIEK

POTRAFIĘ DZIAŁAĆ PONAD PODZIAŁAMI I WZNIĘĆ SIĘ PONAD MIĘDZYŁUDZKIE ZŁOŚLIWOŚCI. CEL WSPÓLNY JEST ZAWSZE NAJWAŻNIEJSZY — MÓWI ALICJA RYMSZEWICZ, STAROSTA WĘGORZEWSKI, W ROZMOWIE Z MACIEJEM MATERĄ, REDAKTOREM NACZELNYM „GAZETY OLSZTYŃSKIEJ”.

— Przed objęciem funkcji starosty węgorzewskiego była pani sołtysem małej wsi Trygort. Zaufanie radnych było jednak duże i to pani została wybrana nowym starostą. Czym zostali oni przekonani, aby to właśnie pani powierzyć to stanowisko?

— Myślę, że efektami mojej ciężkiej pracy, zaangażowaniem w działania społeczności oraz promowaniem nie tylko wsi Trygort, ale i powiatu węgorzewskiego oraz gminy Węgorzewo w całej Polsce. Moim dużym atutem było również jednocześnie ludzi na rzecz wspólnego celu. Sporo pracowałam podczas kampanii w wyborach samorządowych. Prowadziłam ją w sposób nowoczesny oraz spotykałam się z mieszkańcami. Samą kampanię prowadziłam w sposób przyjazny, bez obrzucania się. To sprawiło, że tydzień po przegranych przeze mnie wyborach na burmistrza Węgorzewa siedziałam ze swoim kontrkandydatem przy wspólnym stole i razem snuiliśmy plany dla powiatu. Potrafię działać ponad podziałami i wznieść się ponad międzyludzkie złośliwości. Cel wspólny jest zawsze najważniejszy, czyli w tym przypadku rozwój ziemi węgorzewskiej oraz bezpieczeństwo mieszkańców.

— Jaki jest pani plan dla powiatu węgorzewskiego na nadchodzącą kadencję?

— Ważne będzie budowanie dróg, rozwijanie infrastruktury, lecz tutaj nasuwa się pytanie, dla kogo my to wszystko robimy. Dla mnie najważniejszy jest człowiek. W dzisiejszych czasach, kiedy społeczeństwo się starzeje, a ludzie nie chcą mieszkać w regionie ze względu na bliskość granicy z Rosją, musimy myśleć o tym, czego potrzebuje społeczeństwo. Sama infrastruktura nie wystarczy, ponieważ nie będziemy nigdy w stanie konkurować z dużymi ośrodkami miejskimi. Musimy stawiać na to, że na naszym terenie wciąż można mieszkać wśród pięknych warunków przyrodniczych, blisko natury, z czystym powietrzem i pięknymi widokami. W swojej wizji mam również to, żeby w powiecie węgorzewskim rozwijać biznes związany z medycyną połączoną z walką z chorobami psychicznymi. To właśnie elementy przyrodnicze potrafią pomóc w ich zwalczaniu.



Alicja Rymszewicz, starosta węgorzewski

Zachęcamy inwestorów do odwiedzenia ziemi węgorzewskiej, ponieważ wszelkie walory przyrody są tutaj za darmo. Oprócz tego jest też więź lokalna. Daje to podstawę do tego, że możemy mieć wspaniałe życie, ponieważ mamy dobrych sąsiadów i lokalnych liderów, przez których czujemy się bezpiecznie. Tego nie ma w wielkich miastach, gdzie mimo wielotysięcznej społeczności czujemy się osamotnieni. Na ziemi węgorzewskiej osamotnienie jest mniejsze właśnie ze względu na lokalną więź, lecz również wspólną dbałość o młodsze osoby, seniorów czy nawet zwierzęta.

— Przedstawiona wizja jest wspólna, lecz do zrealizowania wtedy, kiedy uaktywni się społeczeństwo. Jak zamierza ją pani włączyć do działania i czy mieszkańcy podzielają tę wizję przyszłości?

— Myślę, że przez siedem miesięcy mojej pracy jako starosta węgorzewski osiągnęłam już duże sukcesy. To,

co się udało nam zrobić, wcześniej wydawało się niemożliwe, to współpraca samorządu powiatowego z samorządami gminnymi. Wydaje mi się, że władze przekonali się do mnie i do mojego sposobu pracy, czyli to, co mówię, również realizuję. Jako cztery samorządy podzielił się i wspieramy łączną kwotą 400 tys. zł powiatowy szpital. Jednogłośnie zgodna decyzja w tej kwestii była ogromnym sukcesem w budowaniu współpracy i dążeniu ku wspólnemu celowi, jakim jest zapewnienie bezpieczeństwa zdrowotnego mieszkańców. To fantastyczny prognostyk na kolejne lata kadencji, ponieważ wiem, że będziemy się nawzajem wspierać i dogadywać jako samorządy. Jestem pełna optymizmu i zamierzam nim skutecznie zarażać.

— Ziemia węgorzewska należy do szlaku Wielkich Jezior Mazurskich. Mamy nadzieję, że ten teren wkrótce stanie się jeszcze większą mekką turystyczną dla np. żeglarzy.

Jak zapatruje się pani na turystykę oraz jej dalszy rozwój? Czy może mieć na nią wpływ bliskość Rosji oraz sytuacja na świecie związana z wojną w Ukrainie?

— Naszą główną gałąź, czyli instytucje, oraz fakt, że w powiecie węgorzewskim mamy jednostkę wojskową, musimy wspierać innymi gałęziami. Jedną z nich jest oczywiście turystyka. Zadaniem samorządu jest przyciągnięcie jak największej liczby inwestorów. Mamy u siebie turystów, lecz ten aspekt jest nieco rozdrobniony. Powinniśmy zapraszać do siebie inwestorów, którzy będą budowali hotele, pensjonaty czy obiekty turystyczne. Cała ta promocja powinna iść w tym kierunku, aby nie kojarzyć się wyłącznie z plażowaniem — to zjawisko jest jedynie sezonowe. Tak naprawdę każdy, kto do nas dotrze o innej porze roku, jest zachwycony. Można u nas swobodnie spacerować i fantastycznie wypoczywać. Nie trzeba wymyślać specjalistycznych aktywności. Wystar-

czy wyjść na polną drogę i cieszyć się zuroków natury.

— Od kilku lat na Warmii i Mazurach mówi się o turystyce zdrowotnej. Czy w powiecie węgorzewskim są możliwe takie inicjatywy?

— Zdecydowanie tak. Pojawiają się już nawet pierwsze jaskółeczki. We wsi Kal znajduje się ośrodek leczenia uzależnień, w którego utworzenie był zaangażowany popularny aktor Michał Koterski. W tym kierunku powinniśmy się rozwijać i nie ukrywam, że toczą rozmowy z inwestorami chętnymi do budowy podobnych ośrodków medycznych. Dla nas to nie tylko szansa na rozwój gospodarczy, nowe miejsca pracy, ale i przyciągnięcie lekarzy specjalistów, z których wiedzy będą mogli korzystać nasi mieszkańcy. Dzisiejszym problemem jest mała dostępność do takich właśnie lekarzy, których mamy rozproszonych w regionie. To tylko kontynuacja mojej idei dbania o dobro mieszkańców.

— Dziękuję za rozmowę.

**J**ako przedsiębiorczynie kobiety są silne i odważne. Wszystkie mamy lęki, czasem niepewność. I to jest dobre, bo typowe dla kobiet, wynika z naszej natury. A strach wcale nie oznacza, że nie powinniśmy czegoś robić. Nie — on oznacza: „bój się i rób!”.

— Kim Ty jesteś?

— To jest zawsze najtrudniejsze pytanie...

— Dlaczego?

— Bo trudno mówić o sobie, ale spróbuję... Od 2006 roku jestem praktykiem rynkowym, specjalistką w zakresie marketingu, sprzedaży, zarządzania i realizacji procesów, które w firmie kończą się wzrostem przychodów. Tak w skrócie możemy to nazwać. Te procesy to najczęściej obsługa klienta, sprzedaż, marketing. Nie są to procesy produkcyjne — wszędzie tam, gdzie firma zderza się z rynkiem, z klientem i z procesem sprzedaży — to jest mój obszar kompetencji.

— Dobrze, ale jesteś też mamą...

— Oczywiście! Jestem mamą dwóch dorastających córek, jedna z nich ma 12, a druga 14 lat. Jestem bardzo zapracowaną mamą i mam z tego powodu wyrzuty, ale z drugiej strony jestem też świetnym trenerem i dużo rozmawiam z córkami o swoich sprawach zawodowych, na przykład o wolności finansowej, o zarządzaniu własnymi finansami. Moim zdaniem to bardzo ważny, a często omijany obszar rodzicielstwa. I cieszę się, bo już widzę, że zaczęły zarządzać swoimi finansami osobistymi. To jest dla mnie powód do wielkiej satysfakcji.

— Czyli tym dwóm kobietkom nie grozi w przyszłości żadna przemoc ekonomiczna, której niestety wciąż wiele kobiet doświadcza...

— Tak i tego się trzymajmy. Tego życzę każdej dorastającej dziewczynce! Uczę też moje córki, by zawsze pamiętały, że nie ma granic. Jeśli dziś wymyślą sobie rzeczy, które chcą robić, to choć dziś jeszcze mogą nie istnieć odpowiednie technologie, które pozwalałyby na realizację ich pomysłów — za kilka lat to już może być możliwe. Na pewno przyszłością medycyny jest biotechnologia, biomodyfikacje. Jeśli zatem jedna z moich córek założy sobie, że chce kierować wszczepiać kamerę do mózgu, to ja jej dziś mówię, że będzie to robiła.

— To piękne... Powiedz, jak wygląda Twój typowy dzień?

— Staram się pracować w oparciu o pewien schemat i strukturę, bo wiem, że to pomaga i bardzo zwiększa efektywność. Moje życie zawodowe odbywa się więc cyklami tygodniowymi. Część tygodnia poświęcam zatem na pracę w spółce: na rozwój startupów, w których jestem współnikiem. Drugą część poświęcam na pracę w klinice. Zwykle pracuję od rana do godzin popołudniowych, późniejszych. Potem jest czas na rodzinę i bardzo często zdarza mi się, że na pracę poświęcam też dwa wieczory w tygodniu.



Anna Ciesielska

— Zmusza Cię do tego sytuacja?

— Nie, tak lubię. Wieczorami jestem w takiej ciszy. Lubię się wtedy zastanowić nad różnymi sprawami, koncepcjami. Praca wieczorem wywołuje u mnie większe skupienie i powoduje, że na przykład szybciej mogę wrócić do domu.

**CZASEM SYTUACJA RODZINNA POWODUJE, ŻE MUSZĘ WYJŚĆ Z FIRMY WCZEŚNIEJ, OKOŁO POŁUDNIA. TE WIECZORY SĄ DLA MNIIE ZATEM JAKBY KONTYNUACJA PRZERWANEGO DNIA ALBO TAKIM MOMENTEM, KIEDY W SPOKOJU MOGĘ SIĘ NAD CZYMŚ ZASTANOWIĆ I POPRACOWAĆ.**

— Ale to wszystko zajęcia zawodowe, służbowe. A gdzie w tym jesteś Ty?

— Mówiąc o sobie chyba powinnam użyć cyklu rocznego...! [śmiech] Dla siebie robię tyle, że dwa razy w tygodniu ćwiczę. Wtedy to rzeczywiście jest czas dla mnie — ćwiczenia fizyczne dają mi poczucie siły i sprawczości. Jeśli jestem silna fizycznie, to mam wrażenie, że jestem też silniejsza psychicznie. Choć fakt: zaczynam te ćwiczenia o 6:50 rano, więc one nie wchodzi ani w sferę zawodową, ani rodzinną. Oprócz ćwiczeń dwa razy w roku staram się wyjechać z przyjaciółkami na jakiś taki babski wyjazd. Ponadto przynajmniej kilka dni w roku staram się spędzić na festiwalu z jogą: to wyciszenie, trochę medytacji — wszystko razem pozwala mi złapać kontakt ze sobą, a w konsekwencji nastraja mnie na większą wewnętrzną równowagę. No i ładuję baterie na te dni wypełnione pracą i obowiązkami.

— Jak to się stało, że zostałaś bizneswoman?

— Nie wiem... Choć myślę, że to dlatego, że ze mną jest coś nie tak...! [śmiech] Ja na przykład nie

# ANNA CIESIELSKA: — CZASEM W ŻYCIU DOBRA JEST REBELIA!

jestem w stanie wejść w schemat i podporządkować się sytuacji, którą zastaję. Nie jestem w stanie pracować na etacie, bo mam w sobie zbyt dużo niezgody, zawsze chcę zrobić coś inaczej, pokazać, że można coś zrobić w inny sposób, że coś innego może być lepsze, efektywniejsze. Cenię też sobie poczucie wolności i chcę mieć świadomość — choć bardzo rzadko z tego korzystam, praktycznie nigdy, że jeśli trafi mi się gorszy dzień, to w ogóle nie pójde do pracy i nikomu nie będę musiała o tym mówić. To dla mnie dobre, daje mi komfort. A jak to się stało? Na pewno u podstaw był fakt, że nie za dobrze wybrałam swoją pierwszą edukację — planowałam być nauczycielem akademickim. Ale życie wzięło sprawę w swoje ręce i podsunęło przedsiębiorczość: kształcenie się w tym kierunku, studia podyplomowe, jedno, drugie... Też fajne, znane uczelnie. I w końcu to życie zatoczyło koło, a ja wróciłam do wątku uczelni i przekazywania swojej wiedzy innym. Co mi się też bardzo podoba. Ale przyznaję, że miałam szczęście spotykać w życiu osoby, które mnie dużo nauczyły. Pomogły mi uporządkować klocki, które dostajemy w bardzo niedoskonałej edukacji, ale też te wynikające z wymagań rynku i klientów. Każdy ciągnie w swoją stronę: w szkole uczyli cię jednego, na studiach mówili ci drugie, a klient chce trzeciego. A summa summarum w tym wszystkim trzeba znaleźć swoją drogę i być na tyle stanowczym, by w razie potrzeby umieć powiedzieć klientowi, że nie — to nie działa i jeśli tak zrobisz, drogi kliento, nie odniesiesz efektu. Trzeba twardo stać na swoim stanowisku.

— Bardzo wspierasz kobiety.

— Rzeczywiście, bardzo lubię pracować z kobietami. Kiedyś więcej pracowałam z mężczyznami, w tej chwili bardzo sobie cenię możliwość pracy albo z kobietami, albo w biznesach, w których jest ważna równość, empatia, społeczna odpowiedzialność biznesu. Niby to szumne słowa, ale warto je stosować w praktyce.

— Czy powiedziałaśby zatem, że czasem lepiej zaufać własnej intuicji, doświadczeniu niż książkowej wiedzy? Nawet w biznesie?

— Zdecydowanie. W ogóle w życiu bycie takim trochę rebeliantem, odważnym i zdecydowanym — jest dobre. Przede wszystkim cały czas pozwala nam karmić kreatywną część naszej osobowości, to dziecko w nas — a wszystko po to, by nie stracić radości z pracy, z życia. Bo przecież to ta radość daje głód na więcej: głód poznawania świata, ludzi, nowych wyzwań... I raptem podejmowania się zupełnie nowych rzeczy. Przekroczyłam 40 lat życia i w sumie mogłabym powiedzieć, że już nic nie muszę. Ale ja chcę.

— Jakimi przedsiębiorczyniami są kobiety?

— Silnymi i odważnymi. Świetnie zorganizowanymi. Każda z nas się boi, ale praca z kobietą jest o tyle fajna, że każda z nas może powiedzieć — tak, też się czasem boję. Wszystkie mamy lęki, czasem niepewność. I to jest dobre, bo typowe dla kobiet, wynika z naszej natury. A strach wcale nie oznacza, że nie powinniśmy czegoś robić. Nie — on oznacza: „bój się i rób!”.

— Czy kobiety są lepszymi przedsiębiorczyniami niż mężczyźni?

— Nie ma na to jednoznacznej odpowiedzi. W swoim życiu spotkałam bardzo empatycznych mężczyzn i bardzo bezwzględne ko-

biety. Albo zagubione. W biznesie dużo ważniejsza jest konsekwencja działania. To ona bywa bliższa mężczyznom, być może z powodów antropologicznych. Akobieta bywa z tej konsekwencji wyrwana. Bo na przykład jej uwaga zostanie przesterowana na rodzinę, na jakiś moment w życiu, kiedy ktoś inny wymaga opieki. I to powoduje, że jej proces konsekwentnego działania zostaje przerwany. Dlatego dużo ważniejsze i u podstaw jest to, żeby konsekwentnie działać, bo sumą sukcesu jest liczba tych razy, kiedy się podniesiesz, a nie ile razy upadłaś. Za rogiem zawsze jest coś nowego. Zatem choć nie da się tego zrównać, z moich obserwacji wynika, że większy sukces osiągają osoby, które są konsekwentne, wyznaczają sobie jeden cel, azymut, do którego idą — różnymi drogami, ale konsekwentnie. I pleć nie ma tu znaczenia. Z empatią u obu płci też różnie bywa — dla tych młodszych pokoleń to zaczyna być powoli sprawa intuicyjna. Przede wszystkim pamiętajmy, że empatia nie oznacza słabości. Empatia

to umiejętność obronienia twojego zespołu przed innymi ludźmi, obronienia własnego stanowiska i bycie stanowczym w swojej drodze. To jest klucz. A czy chcesz coś robić w sposób empatyczny czy przemcowy — to już twój wybór. I zależy od tego, co kto w sobie ma. Z kolei w zarządzaniu ludźmi bardzo ważne są instynkty: lepiej zarządzać zespołem będzie osoba, która nie ma niskich instynktów, wynikających z kompleksów lub z jakichś problemów. Ale osoba z wysokimi instynktami nie zawsze będzie skuteczniejsza, bo jednak czasem trzeba po prostu być nie tylko stanowczym, ale i ostrym.

— Człowiek uczy się całe życie. A jednak ekonomia, przedsiębiorczość — jawią mi się jako takie dziedziny, w których w ogóle nigdy nie ma dość nauki, bo stale pojawia się coś nowego...

— Tak, ale ja chcę się uczyć, to mi sprawia wielką przyjemność. Obserwowanie ludzi, którzy osiągają sukces, a zostając prezesami wielkich kompanii, osiągając bilionowe zyski — potrafia pozostać



Fot. archiwum prywatne

miłymi, przystępnymi, sympatycznymi ludźmi. Zatem już samo inspirowanie się innymi osobami, które osiągają sukces, wykorzystując nowe technologie — jest dla mnie nauką, ale i przyjemnością. Uwielbiam też czytać książki zgodne z nowymi przemyśleniami, trendami.

**80 PROCENT LITERATURY, KTÓRĄ CZYTAM, WIĄŻE SIĘ Z MOIMI ZAWODOWYMI ZAJĘCIAMI. BO PROSTU BARDZO LUBIĘ. A TE NOWE TRENDY I PODEJŚCIA BARDZO UŁATWIAJĄ ZARZĄDZANIE PRZEDSIĘBIORSTWEM, KTÓREGO NIE DA SIĘ PRZECIEŻ WYRWAĆ Z RZECZYWISTOŚCI.**

Firma żyje tu i teraz, więc to te nowe, opisywane przez analityków, zauważalne trendy, tendencje — w szerszej perspektywie zawsze coś nowego wniosą też do naszego przedsiębiorstwa. No, a poza tym trzeba cały czas reagować i wpasować się w to, w czym się po prostu zaistniało. Uczę się cały czas — ostatnio stwierdziłam, że powinienam podciągnąć mój angielski na poziom C1. Myślę — dobrze, no to idziemy i w to.

— Co interesuje Cię w wolnym czasie? Co daje Ci oddech od spraw związanych z przedsiębiorczością?

— To trudne pytanie. Może to jest tak, że jeśli wybierasz zawód, który lubisz, albo on cię sam wybierze — to wszystko da się razem połączyć...? Po prostu zaczynasz oddychać tą pracą... Choć równie dużym obszarem moich obserwacji połączonych z wypoczynkiem są dzieci, ale też nie w kontekście opiekuńczym, tylko by obserwować ich drogę. Stąd te moje długie i ożywione rozmowy z córkami — jak wybrać zawód, jak szukać sobie czegoś nowego, jak pokierować swoją przyszłością... Co to znaczy wybierać na wczesnym etapie życia cel, do którego się idzie, bo już wtedy w każdej kolejnej klasie można uczyć się tego, co cię interesuje... Żeby być stanowczym. Kiedyś zrobiłyśmy takie ćwiczenie: poprosiłam, by namalowały miejsce, gdzie chciałyby pracować. Jedna z córek narysowała mały kwadracik. Zapytałam więc, nie ukrywam — wyzywając, dlaczego taki mały? Weź, dorysuj tam coś więcej... Itak podsympujesz tę ich wyobraźnię i widzisz, jak zaczyna nabierać kolorów. I to jest fajne, bo zaczynasz mieć świadomość, że twoim życiowym celem jest stworzenie dwóch nowych jednostek, które pójdą w życie zawodowe i będą fajnymi ludźmi, ale też będą samodzielne. Coś wniosą i coś po sobie zostawia.

— Powiedz mi, kompletnemu laikowi, co to jest ten startup?!

— Super pytanie! Bo bardzo często słyszę „chcę założyć startup, gdzie znaleźć na to pieniądze?”. Pytam wtedy o konkrety. I tak od słowa do słowa wychodzi, że ktoś po prostu planuje jednoosobową działalność gospodarczą, która będzie w inny sposób robiła to, co wszyscy inni już robią, że nie będzie

wniej żadnej innowacji. Startup to jest organizacja, która ma jakąś innowację. Ale to musi być rzeczywista innowacja, co najmniej na poziomie kraju. Produkt, do którego ten startup dąży, musi być w stanie skalować się i sprzedawać globalnie. Jeśli zatem planujemy założyć gospodarstwo agroturystyczne, które będzie w bardzo innowacyjny sposób hodowało na przykład kozy i wytwarzało ser z nich mleka — to nie będzie startup. Natomiast, jeżeli chcielibyśmy tworzyć grafiki z kodami nfc, które kozy wymalowały, i sprzedawać je na rynku globalnym... Albo stworzymy aplikację do badania szczęśliwości kóz i jej wpływu na jakość i smak tego mleka i sera, którą można sprzedać innym hodowcom — to będzie startup.

— Rany, nawet ja pojętam...!

Magdalena Maria Bukowiecka

**Od autorki:**

Na moim biurku, na wprost przede mną leży zabawka, tzw. spinner. Jest ciemnobordowy, wykonany z tworzywa — konkretnie wydrukowany został na drukarce 3D. Ania, wręczając mi go, opowiedziała całą historię nie tylko jego powstania, ale też firmy, która z Anią współpracuje i która ten wyszukany gadżet stworzyła. Sednem wszystkiego są z jednej strony twórcy, z drugiej — osoby cierpiące na schorzenia krtani, z rakiem włącznie... Trzecia strona jest moja własna: bo ta niepozorna zabawka jest dla mnie nie tylko przebłytkiem ludzkiej zmyślności, że ta zmyślność właściwie nie ma granic. Ale przede wszystkim dowodem, że gdy człowiek myśli o innym człowieku — powstają piękne i niepowtarzalne rzeczy...!



Fot. archiwum prywatne

# O CZŁOWIEKU, KTÓRY KOCHAŁ CHLEB

— BYŁ ZARADNY, TOWARZYSKI. WSZYSTKICH SWOICH ZNAJOMYCH ZAPRASZAŁ DO NASZEGO MIESZKANIA, BO BYŁ NIESAMOWICIE GOŚCINNY. BYŁ TEŻ BARDZO WIERNY WSZELKIM TRADYCYJOM I RODZINIE  
— WSPOMINA HANNA SZŁESZYŃSKA, CÓRKA STANISŁAWA MITUNIEWICZA, KTÓRY PRAWDOPODOBNIENIE ZAŁOŻYŁ PIERWSZĄ W POWOJENNYM OLSZTYNIE PIEKARNIĘ,

— Pierwsze wspomnienie. Kiedy myśli Pani dziś o swoim Tacie — co przychodzi Pani do głowy jako pierwsze?

— Może już miałam 3 latka... Tatuś szedł do swojej piekarni. A ja chwyciłam go za rączkę i poprosiłam, żeby mnie do swojej piekarni zaprowadził. Pamiętam też, że ulicą Grunwaldzką, przy której mieszkali moi rodzice i przy której się urodziłam, jechał tramwaj — zobaczyłam go pierwszy raz w życiu. I bardzo chciałam ten tramwaj przywitać...! Motorniczy zatrzymał zatem tramwaj, a mój tatuś się przestraszył, gdy zobaczył, że jego ledwie 3-, może 4-letnia córka stoi na torach, a tramwaj stoi tuż przed nią. Motorniczy porozmawiał z tatusiem, a w moją stronę przyjaźnie pomachał. Za co tatuś mu jeszcze podziękował. I pamiętam, że był bardzo rozradowany — wtedy byłam kompletnie nieświadoma, ale dziś myślę, że po prostu ucieszył się, że nic mi się nie stało. Kolejne wspomnienie — ito utkwilo mi w pamięci na bardzo długo — to ruiny starych domów z cegły koło naszej kamienicy na Grunwaldzkiej. Byłam wtedy już troszeczkę starsza i dla mnie to był wstrząsający widok. Potem się okazało, że tatuś z mamusią mnie szukali — a ja po prostu weszłam pomiędzy te zrujnowane cegły i zniknęłam wszystkim z oczu.

— Zainteresowały Panią...

— Jak to dziecko — byłam małą dziewczynką, ale wszystko mnie interesowało. Wszystkiego chciałam dotknąć, sprawdzić, zobaczyć. Zatem te ruiny też pamiętam do dziś. A potem cały teren odgruzowano i powstały te dwa, na tamte czasy nowoczesne bloki. Stoją do dziś. Tak, jak stoi „moja” kamienica — moja, bo się w niej urodziłam. Na początku to był adres Grunwaldzka 41-2, a po 10-15 latach numer zmieniono na 12. Śliczna kamienica z wieżyczkami wieńczącymi dach. I tabliczka z rokiem powstania: 1897. Pamiętam przepiękny piec w jednym z pokoi — jako małe dziecko biegałam wokół niego. Piękne było też podwórko. I to z tego naszego mieszkania tatuś zawsze biegał do swojej piekarni.

— Wspomina Pani, że tata przyjechał do Olsztyna w maju 1945 roku. A gdzie są jego korzenie?

— Mój tatuś urodził się 15 lipca 1915 roku w Wołczkach koło Głębokich — to obecnie Białoruś. W latach 1921-1945 to była Polska, województwo wileńskie, powiat wilejski. Mój dziadek miał na imię Konstanty i miał nieduże gospodarstwo rolne.



Z piekarzami Kresowianki. St. Mituniewicz siedzi w środku

— No, a tatuś w 1945 roku przyjechał już jako prawie 30-letni mężczyzna, z zawodu piekarz...

— Jeszcze w czasach przedwojennych, przed poborem do wojska tatuś pracował w piekarni w Głębokiem, przyuczając się do zawodu. Interesowało go pieczenie chleba. Po czym został powołany jako rezerwista do Zambrowa, do 71. Pułku Piechoty, jako strzelec — taką miał funkcję wojskową. W sierpniu 1939 awansował na starszego strzelca i w tym czasie wysłano go na front, do Myszynca, konkretnie na granicę z Prusami Wschodnimi. Zaraz na początku wojny wziął udział w bitwie, a 12 września 1939 trafił do niewoli niemieckiej. Razem z kolegami z oddziału trafił do obozu dla jeńców wojennych w Prusach Wschodnich, w Wormditt, czyli w dzisiejszej Ornece. Wiadomo, że Niemcy potrzebowali rzemieślników — musieli przecież regularnie zaopatrywać swoich żołnierzy na froncie, a większość była zmobilizowana do wojska. Zatem w tym obozie Niemcy zapytali się po prostu polskich jeńców kto ma jakie wykształcenie. Tatuś za pierwszym razem na ten apel się nie zgłosił. Dopiero za drugim razem — Niemcy nawet mieli o to pretensje, że dopiero za drugim — przyznał się



St. Mituniewicz za swoją pracę otrzymał liczne odznaczenia

do swojego doświadczenia w piekarnictwie. Został wtedy skierowany do pracy w jednej z orneckich piekarni, która była jedną z większych, lepszych, z tradycjami i której właścicielem był Niemiec. W tym czasie w Wormditt i w okolicach pracowali też inni Polacy — pracownicy przymusowi. Warunki obozowe pozwa-

ły im mimo wszystko na w miarę swobodne przemieszczanie się — na przykład mogli w niedziele chodzić do orneckiego kościoła. Szybko poznał się z innymi jeńcami z Polski, którzy też do kościoła co niedzielę przychodzili. I to tam, w tym kościele powstała ich taka grupka, do której należał i tatuś, ale i jego przyszła żona, czyli moja mamusia...!

— A co Pani mama robiła w czasie wojny?

— Pracowała w szpitalu dla chorych na gruźlicę w Wormditt. A trafiła tam po prostu z łapanki... Ale... Widocznie takie było przeznaczenie moich rodziców — wierzę w to.

— Tymczasem wciąż trwa wojna...

— Tak. Tatuś dalej pracuje w tej piekarni u Niemca. A że jest bardzo pracowity, sumienny, ale i wesoły, dowcipny i ludzie do niego lgną — nawet Niemcy bardzo go lubią. Dlatego jak wspominał po wojnie, mimo tej niewoli nie mógł narzekać na swoje warunki. Całkiem dobry był też dla niego ten niemiecki pracodawca: wiedział, że po kościele tatuś spotyka się z innymi Polakami, dawał mu więc bochenki chleba, które tatuś mógł rozdać swoim przyjaciołom. Inicjatorem tej „charytatywnej działalności” był ponoć tatuś, bo przecież wiedział, że

wielu Polaków nie miało tak dobrze i większość po prostu przymierała głodem. Ale Niemiec też był w porządku. Choć nie zawsze było kolorowo. Nawet była tam taka sytuacja, że jakiś młody Niemiec cały czas się tam tych Polaków czepiał, wyzywał ich i uniemożliwiał normalną pracę. Denerwował ich po prostu. Przychodził do piekarni czy gdzieś na nich czyhał i po prostu obrażał. Wtedy tatuś i inni Polacy poskarżyli się temu właścicielowi piekarni, a ten zgłosił to na policję. Policja przyjechała, nawsadzała temu wyrostkowi kijów i się skończyło. A właściciel piekarni podobno jeszcze z za ich pleców krzychał: „to oni robią chleb dla naszych żołnierzy na froncie, a ty mi przeszkadzasz, wyzywasz ich jeszcze...?”

— Historia z życia wzięta. I to tam, w tej orneckiej piekarni zastało Pani tatę wyzwolenie?

— Tak, 16 lutego 1945 został wyzwolony. W międzyczasie poduczył się niemieckiego i do tego stopnia zyskał zaufanie tego właściciela piekarni, że w chwili, gdy została ogłoszona ewakuacja Niemców z Prus Wschodnich — on wraz z żoną zaproponowali, czy może bardziej zasugerowali tatusiowi, by jechał wraz z nimi. By przed Ruskimi uciekł razem z nimi do Niemiec. Ale tatuś w tym czasie poznał i coraz większym uczuciem pałał do mamusi, spotykali się... Powiedział zatem, że nigdzie nie jedzie, że jest Polakiem i zostaje tu. Potem, jak już Armia Czerwona weszła, miał przez znajomość niemieckiego wiele problemów... W międzyczasie przecież tu trwały walki, lotnisko koło Ornezy było zbombardowane i ostatecznie wkroczyli Rosjanie. Wyzwolili... Ale gorzej, że tatusia rozdzielili z jego wybranką. A już kupił takie srebrne obrączki i zdążyli się zaręczyć...!

— A jak się znalazł w Olsztynie?

— Jak inni Polacy, także tatuś wsiadł do pociągu towarowego w Ornece — i jechał w nieznaną. Ze łzami w oczach, ale jechał... Dodatkowo musiał pożegnać ukochaną narzeczoną... Niby upragniony koniec wojny, ale to wszystko takie niewiadome było. I z tego pociągu z daleka zobaczył, że zbliżają się do jakiegoś miasta. A potem zobaczył tablicę z napisem Allenstein. Razem z innymi Polakami wysiadł więc na dzisiejszej stacji Olsztyn Zachodni. Zaraz potem każdy poszedł w swoim kierunku, a tatuś wspominał, że poszedł wzdłuż dzisiejszej ulicy Grunwaldzkiej. Być może chciał

ić w kierunku starówki. I tak sobie szedł tym morzem ruin, szukając miejsca, w którym mógłby się zatrzymać. Zaczął się przyglądać tej właśnie kamienicy, w której potem zamieszkał, z metalowymi, pięknymi wieżyczkami i tabliczką z napisem 1897. Wszedł w bramę, skręcił i bardzo się ucieszył, aż skakał z radości — bo wszedł, a tam piekarnia...! Piece, stoły, wszystko pozostawione, ale jakby gotowe do użycia...! Do tego stajnie i magazyny. Szybko znalazł urząd meldunkowy, zameldował się w Olsztynie. Zaproponowali mu nawet domek, bo przecież wszystko stało puste. Ale tatuś odmówił — bo już znalazł piekarnię. A potem razem z człowiekiem od meldunków znaleźli to mieszkanie, w którym za kilka lat urodziłam się ja i moje rodzeństwo.

— I tak w krótkim czasie zaczęła działać piekarnia „Kresowianka”. A jak się Pan Stanisław ponownie spotkał ze swoją narzeczoną Bronistawą?

— Tatuś wiedział, że jego narzeczoną jest w Toruniu. Jeden z jego przyjaciół z wojennych czasów orneckich, Marian Strzelak, przyjechał raz do Olsztyna. Też wysiadł na Zachodnim i też ruszył Grunwaldzką. Patrzy, a tam szyl: „Piekarnia Kresowianka. Stanisław Mituniewicz”...! Jak potem wspominał — nogi się pod nim ugięły. Tatuś zaprosił go do domu i zwierzył, że wciąż nie wie, gdzie jest jego kochana Bronia. Zwłaszcza, że go wciąż swatali, bo tatuś był nie tylko zaradnym, ale i przystojnym mężczyzną. „Co ja bym, Marian, dał, by tę moją miłość z czasów wojny odnaleźć...” — tak podobno powiedział. Na co Marian oświadczył, że Bronia jest u siostry w Toruniu...!

— Tata chyba oszalał ze szczęścia...!

— Tak! Od razu zamknął piekarnię, podziękował swoim pracownikom i wsiadł do pociągu do Torunia, a tam od razu udał się do urzędu meldunkowego. Szukać swojej Broni Awinas, urodzonej w 1920 roku w Grodnie. I tak się spotkali, choć mamusia nie przyjechała tak od razu do Olsztyna. Pobrali się 15 października 1945 roku w olsztyńskiej katedrze.



Tort bezowy — Stanisław Mituniewicz przygotował go specjalnie na wesele córki Hanny

— I szczęście rodzinne stało się też udziałem Pani rodziców. Przyszła na świat Pani, Pani siostra, brat... A jak radziła sobie „Kresowianka”?

— Do 1953 roku bardzo dobrze. Do dziś jako pamiątkę przechowujemy z synem liczne medale i dyplomy, które tatuś otrzymywał w nagrodę za swoją pracę, na przykład z wykonanie herbu Olsztyna w cieście. Sam zdobywał kolejne tytuły mistrzowskie, poszerzył działalność o cukiernictwo, kształcił też uczniów. Miał konie i sam jeździł po okolicy, by od Warmiaków kupować zboże, z którego następnie powstawała mąka na chleb — tak nawiązywał liczne znajomości, potem go zapraszali na wesela, dla wielu dzieci zostawał ojcem chrzestnym... Nawet troszeczkę grosza zaoszczędził i miał plany, by kupić piekarnię w Warszawie, gdzie po wojnie trafiła część jego rodziny, i wyprowadzić się z Olsztyna. Ale właśnie w 1953 roku komuniści postanowili zlikwidować własność prywatną. Swoje zrobiła też reforma

walutowa z 1950 roku — komunistyczne władze zabrały wtedy Polakom 2/3 oszczędności. A ponieważ tatuś swoje oszczędności trzymał w domu — nawet nie można ich było wymienić... Wszystkie te oszczędności, a to było naprawdę sporo pieniędzy — po prostu spalili... Całą jedną noc palił to w piecu. I płakał. A potem przyszli do piekarni panowie z kilofami i rozbili piec, a tatusiowi kazali się wynosić.

— Jak to?! Kto to był?!

— Komuniści. Ze służby bezpieczeństwa, może z UB... To były przecież ciagle czasy stalinowskie... Wszystkie prywatne zakłady w Olsztynie zostały zamknięte, a moi rodzice właściwie zostali z niczym. Tatuś musiał znaleźć pracę. Szczęśliwie jednak spotkał człowieka z nowo powstałej wtedy Wyższej Szkoły Rolniczej, który poradził mu, by się tam właśnie zgłosił. I tak został zaopatrzeniowcem w WSR.

— Zmieniło go to? Zabiło jego zapał?

— Nie, właśnie nie. Pracę na WSR traktował jako trochę przymusową i tymczasową. Cały czas szukał już nie piekarni, ale cukierni — w międzyczasie został przecież mistrzem cukiernictwa. Specjalizował się w tortach bezowych. Na Chelmińskiej miał w tzw. agencji swoją cukiernię. Został egzaminatorem państwowym piekarzy i ciastkarzy. Działal w cechu piekarzy, w czasie uroczystości nosił nawet sztandar cechu piekarzy i ciastkarzy.

— Jakim człowiekiem był Stanisław Mituniewicz?

— Zaradny, towarzyski. Pamiętam z czasów dzieciństwa, młodości i kiedy już byłam mężatką — tatuś wszystkich swoich znajomych do naszego mieszkania, bo był niesamowicie gościnnie. Wszystkie święta były bardzo rodzinne, nawet nasi sąsiedzi gościli u nas i świętowaliśmy przy jednym stole. Był bardzo



Z czasów niewoli niemieckiej, jako jeniec polski, z numerem identyfikacyjnym

wierny wszelkim tradycjom i rodzinie. I mówił z charakterystycznym, wschodnim akcentem, wręcz z takim pośpiewem. No, i bardzo kochał mamusię i to mimo faktu, że ona wiele lat tak ciężko chorowała...

— Zrobił w życiu, dla ludzi bardzo wiele dobrego — mówi Radosław Szleszyński, wnuk Stanisława Mituniewicza — to też relikwie.



Ze sztandarem Cechu Piekarzy, w czasie procesji Bożego Ciała, pod olsztyńską katedrą



WormdittOrneta, czasy niewoli niemieckiej, St. Mituniewicz pierwszy z prawej

niewicz, który wprawdzie urodził się jeszcze przed śmiercią Dziadka, ale nie zdążył go poznać. — Był człowiekiem poważanym, nie tylko w swoim cechu. Wykształcił wielu uczniów. Kilka razy spotkałem piekarzy, którzy opowiadali mi, jak u Dziadka właśnie zdobywali wiedzę o pieczeniu chleba lub pracowali razem z nim w „Kresowiance”. Mnie mój Dziadek napawa dumą. To on odbudowywał Olsztyn ze zgliszcz po wyzwoleniu. Stanowi też część historii Polski — pochodził z Kresów, a po wojnie nie mógł już swoich rodzinnych stron nawet odwiedzić. Tyle się mówi o wypędzonych Niemcach z naszych stron — a przecież nasi rodacy też musieli po II wojnie światowej zostawić wszystko to, co od pokoleń tam budowali, i w bydłych wagonach przyjechać w zupełnie nieznane strony. Dla mnie Dziadek jest też wzorem rzemieślnika — zdumą kontynuując te tradycje.

Magdalena Maria Bukowiecka

#### Od autorki:

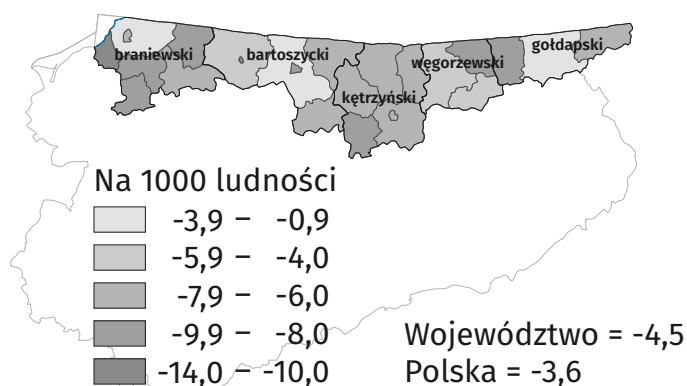
To historia na wskroś niesamowita. Niesamowite były losy Stanisława Mituniewicza. Niesamowita była historia „Kresowianki” i początków olsztyńskiego piekarnictwa, potem także cukiernictwa. A wszystko to okraszane jeszcze jedną niesamowitością. Otóż Hanna Szleszyńska, córka Pana Stanisława — całe pięć lat stanowiła nader istotny element mojej biografii: była mianowicie moją wychowawczynią i panią od polskiego w Szkole Podstawowej nr 15 w Olsztynie...!

Zdjęć, które tu widnieją, dotykałam osobiście, a niektóre oglądałam nawet przez lupę. To samo dotyczy dokumentów i innych pamiątek. Do tego Pani Hania podarowała mi jedną, znaną gdzieś na dnie szuflady etykietkę „Kresowianki”, z adresem piekarni i gramaturą chleba. Wiem, że dla Pana Radosława, wnuka Pana Stanisława te etykiety to jak relikwia. I ja to rozumiem. Tym bardziej cieszę się, że córka i wnuk naprawdę Wyjątkowego Człowieka dopuścili mnie do tej historii i swoich wspomnień. Dziękuję, bo dla mnie zarówno ta etykieta, jak i wszystkie wspomnienia o Stanisławie Mituniewiczu — to też relikwie.

## Zmiany demograficzne w gminach powiatów przygranicznych województwa warmińsko-mazurskiego

Gminy o charakterze depopulacyjnym zlokalizowane były głównie w północnej części województwa. W latach 2000–2023 we wszystkich gminach powiatów przygranicznych, z wyjątkiem Gołdapi, spadek liczby ludności był większy niż średni w województwie. Jego wielkość była uwarunkowana niekorzystną relacją liczby urodzeń i zgonów oraz kierunkiem ruchów migracyjnych ludności.

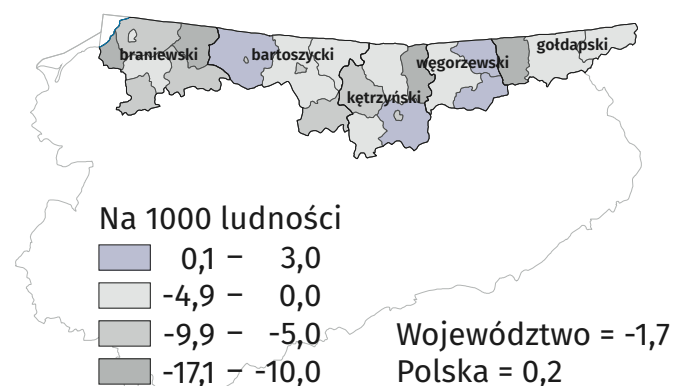
Przyrost naturalny w 2023 r.



W 2023 r. we wszystkich gminach powiatów przygranicznych liczba zgonów przewyższyła liczbę urodzeń. Ujemny wskaźnik przyrostu naturalnego na 1000 ludności w 22 spośród 25 gmin był niższy niż przeciętny w województwie. Najniższe wartości osiągnął w gminach: Frombork, miejskiej Górowo Iławeckie, Banie Mazurskie, Wilczęta, Lelkowo.

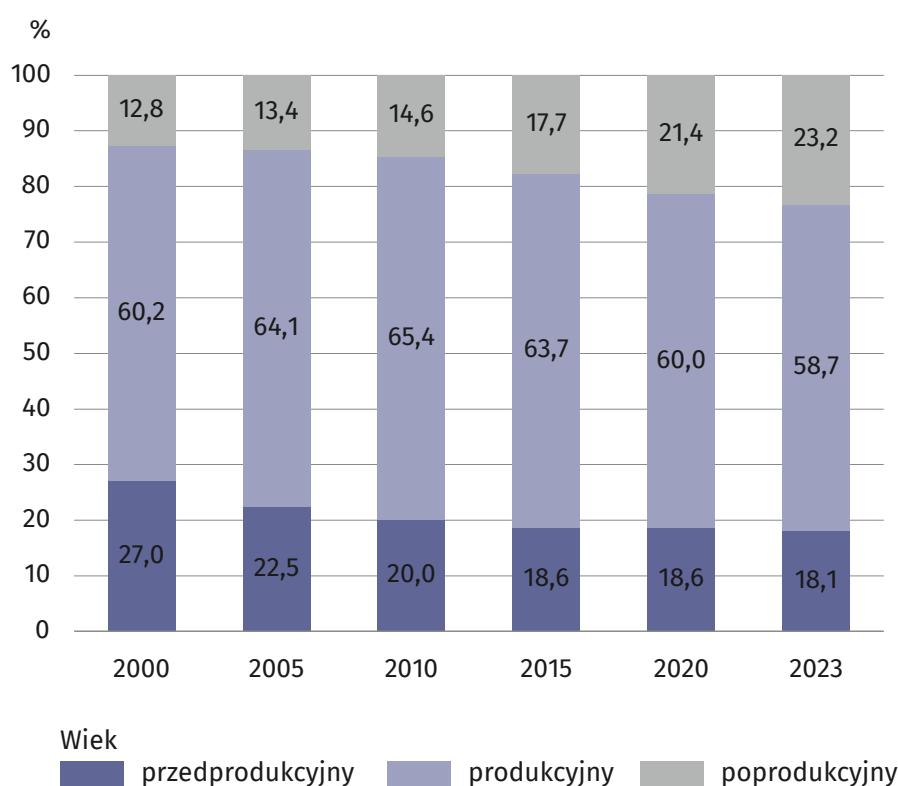
Źródło: Dane Urzędu Statystycznego w Olsztynie

Saldo migracji w 2023 r.



Wśród analizowanych gmin 21 jednostek miało charakter obszarów odpływowych – liczba osób, które wymeldowały się z pobytu stałego była większa niż osób nowo zameldowanych. W 19 gminach ujemne saldo migracji na 1000 mieszkańców było niższe niż średnie w województwie. Największy odpływ ludności odnotowano w gminach: Lelkowo, Frombork, Srokowo, Banie Mazurskie.

## Ludność według ekonomicznych grup wieku w województwie warmińsko-mazurskim



W województwie warmińsko-mazurskim obserwowane są zmiany w strukturze ludności według ekonomicznych grup wieku, polegające na systematycznym zmniejszaniu się liczby osób w wieku przedprodukcyjnym i produkcyjnym, przy jednoczesnym wzroście liczby osób w wieku poprodukcyjnym.

W okresie 2000–2023 liczba dzieci i młodzieży w wieku do 17 lat zmniejszyła się o 140,6 tys. osób (o 36,4%) i w 2023 r. wyniosła 245,2 tys.

Zmniejszeniu o 61,4 tys. osób (o 7,1%) uległa również liczba mieszkańców województwa w wieku produkcyjnym i w 2023 r. wyniosła 798,2 tys.

Jednocześnie odnotowano wzrost liczby ludności w wieku poprodukcyjnym – o 132,4 tys. osób. Było to o 72,7% więcej niż na początku badanego okresu.

Źródło: Dane Urzędu Statystycznego w Olsztynie